

Marysia i Krzysztof Moszyńscy – Wspomnienie

Krzysztof Haman

Marysię - wówczas jeszcze Wizeł - i Krzysztofa poznałem w 1951 r. na pierwszym roku studiów na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Warszawskiego (po 1955 już bez Chemii). Marysia była na sekcji (tak się to chyba wówczas nazywało) matematyki, Krzysztof na fizyce, a ja na geofizyce, bo od wczesnej młodości fascynowały mnie zjawiska atmosferyczne a zwłaszcza chmury. Wszyscy troje należeliśmy do nielicznej grupy „niezorganizowanych” tzn. nie należeliśmy do ZMP (Związek Młodzieży Polskiej), młodzieżowej przybudówki rządzącej partii PZPR. Większość licealistów wybierających się na studia do niej wstępowała, ponieważ w praktyce był to warunek by dostać się na bardziej oblegane wydziały. Mat-Fiz-Chem do nich nie należał, zresztą bardzo dobrzy maturzyści mogli ten warunek obejść.



Maria Moszyńska, dziekan WMIM UW w latach 1984-1987 na posiedzeniu Senatu UW.

Podczas studiów Marysia i ja działaliśmy w ZSP (Zrzeszenie Studentów Polskich), które w odróżnieniu od ZMP było w owym czasie, przynajmniej na szczeblu wydziałowym, całkowicie apolityczne i zajmowało się różnymi formami samopomocy studenckiej. Oboje byliśmy członkami Zarządu Wydziałowego tej organizacji. Krzysztof po pół roku przeniósł się z fizyki na matematykę, zresztą na pierwszym roku studiów programy na tych dwóch kierunkach niemal się nie różniły i najważniejsze wykłady były wspólne. Ja przenieśliem się dopiero po drugim roku studiów, ale po magisterium z topologii u prof. Karola Borsuka powróciłem do geofizyki jako asystent w Katedrze Fizyki Atmosfery u prof. Teodora Kopcewicza.

Pod koniec pierwszego roku studiów lub na początku drugiego, w naturalny sposób powstała trzymająca się razem grupka przyjacielska: Marysia, Krzysztof, ja oraz Alina Niewia-

domska, laureatka II Olimpiady Matematycznej i moja przyszła żona (zmarła na 5 dni przed Marysią). Dołączała do nas czasem Ela Pleszczyńska, dorywczo autorka satyrycznej poezji wydawniczej. Poza zwykłymi sprawami studenckimi łączyły nas zamiłowania turystyczne, zimowe narciarskie wyjazdy w góry i wiosenno-letnie wypady choćby w okolice Warszawy.

Po przeszło siedemdziesięciu latach wielu zdarzeń z tamtych czasów niestety już nie pamiętam ale kilka wspomnień mi zostało. Między innymi udział w wakacyjnej akcji zniwnej w 1953 r. Do takich akcji pomocy w Państwowych Gospodarstwach Rolnych (PGR) zachęcano wówczas studentów, oferując niewielkie wynagrodzenie i bilet powrotny PKP na dowolną trasę. Nasza kilkunastoosobowa grupa z sekcji matematyki trafiła do Soldan, małej wioski w pobliżu Giżycka, niedaleko od jeziora Gołdopiwo, do którego chodziliśmy popływać. Atmosfera w grupie i stosunki z załogą PGR-u, a zwłaszcza z kucharką, były znakomite i epizod ten wspominam z sentymentem. Podobny wyjazd w następnym, 1954-tym roku, do Ziemomyśla k. Choszczna, wspominam znacznie gorzej. Jednak na jego zakończenie nasza czwórka wzięła ważne w ciągu 7 dni bilety do odległych prawie 1000 km Ustrzyk Dolnych i po krótkim postoju w Warszawie wybrała się na wędrowną w Bieszczady. Bieszczady były wówczas dostępne turystycznie dopiero od dwóch lat, kompletnie opustoszałe i dzikie. Mieliliśmy trzyosobowy namiot, dzieło Aliny i jej braci ale jakoś we czwórkę też ześmy się w nim mieścili. Żywiliśmy się konserwami, wojskowymi sucharami, jajkami w proszku i kompotem z czerwonych borówek, których wszędzie było pełno; czasem dochodziły jeszcze jabłka z sadów – jedynej pozostałości po spalonych ukraińskich wioskach. Pierwszej nocy, w czasie kolacji przy ognisku, dwóch młodych „wopistów” (WOP – Wojska Ochrony Pogranicza) zaalarmowało nas okrzykiem „ręce do góry” ale skończyło się na dość przyjaznej pogawędce. Gdy po kilkudniowej wędrownicy, w czasie której spotkaliśmy tylko jedną małą grupkę grzybiarzy, dotarliśmy do Cisnej, garnek kartofli i wiaderko zsiadłego mleka były wspaniałą uczcą.

Wspominam też nasze studenckie koncerty muzyki klasycznej z płyt, o których pisze także Krzysztof w swoich wspomnieniach. Były to nieznane wówczas w Polsce długogrające płyty amerykańskie na 33 obr/min, o średnicy prawie pół metra, z jakiegoś giętkiego plastiku, wyprodukowane z sekcji kulturalnej ambasady amerykańskiej. Z pierwszej pensji zastępcy asystenta, którym zostałem na początku 4-go roku studiów, kupiłem ówczesną nowość – adapter z opcją 33 obr/min i szafirową igłą, na którym, po dorobieniu z dykty talerza o odpowiedniej średnicy, można było te płyty odtwarzać. Niestety, ich źródło zostało dość szybko zlikwidowane.

Pamiętam także ślub Marysi i Krzysztofa 15 września 1955 r., po którym po wyjściu z kościoła natychmiast gdzieś zniknęli, pozostawiając gości weselnych szykujących się do składania gratulacji, na tzw. lodzie. Bardzo się nam, tzn. Alinie i mnie, ten numer spodobał i postanowiliśmy go powtórzyć na naszym ślubie, który miał miejsce przeszło rok później ale patrząc na to z dzisiejszej perspektywy uważam, że nie był to dobry pomysł. Na ten nasz ślub dostaliśmy od Marysi, Krzysztofa i Eli Pleszczyńskiej antykwaryczny egzemplarz sławnego antropologicznego dzieła Bronisława Malinowskiego p.t. „Życie seksualne dzikich”, jako że na wydziale miałem ksywę „Dziki”, wylansowaną zresztą chyba właśnie przez Krzysztofa.

Po studiach nasze kontakty oczywiście osłabły. Mieszkaliśmy daleko od siebie, pracowaliśmy w różnych miejscach i mieliśmy różne własne kłopoty. Przez pewien czas miałem z Krzysztofem bliższe kontakty zawodowe, gdy z grupą naszych wspólnych kolegów ze studiów pracujących w ZAM (Zakład Aparatów Matematycznych PAN), podjęliśmy próbę stworzenia własnego modelu numerycznej prognozy meteorologicznej, ale w końcu okazało się, że przekracza to nasze ówczesne możliwości.

Kontakty między nami ponownie odżyły, gdy na początku lat 1970-tych, obie nasze rodziny zamieszkały w bliskim sąsiedztwie na osiedlu WSM Rakowiec, ale po wyprowadzce Moszyńskich najpierw na Korotyńskiego a następnie na Opaczewską znowu osłabły. Kilka lat przed śmiercią Krzysztofa próbowaliśmy wznowić nasze wspólne wyprawy przynajmniej na pobliską Górkę Szczęśliwicką, jednak okazało się to już trochę ponad fizyczne możliwości Marysi.

Po pogrzebie Marysi z wielkim zainteresowaniem przeczytałem jej wojenne wspomnienia, dostarczone mi przez jej syna Marcina. W naszych rozmowach jakoś nigdy do czasów wojny nie wracaliśmy. Wydaje mi się, że własne przeżycia wojenne mieliśmy już przetrawione, a wspomnianie ich na użytek następnych pokoleń byłoby jeszcze przedwczesne. Zresztą czasy stalinowskie skłaniały do odruchowej ostrożności w poruszaniu tematyki wojennej konspiracji.

Obecnie tradycję naszej przyjaźni podtrzymują nasze dzieci i wnuki: mój syn Maciej i Marcin Moszyński z rodzinami.

18 września 2024 r.